

Świat z Baśni z tysiąca
i jednej nocy
ożywa na kartach
opowieści
o łowcy demonów

Şalâdin Ahméd

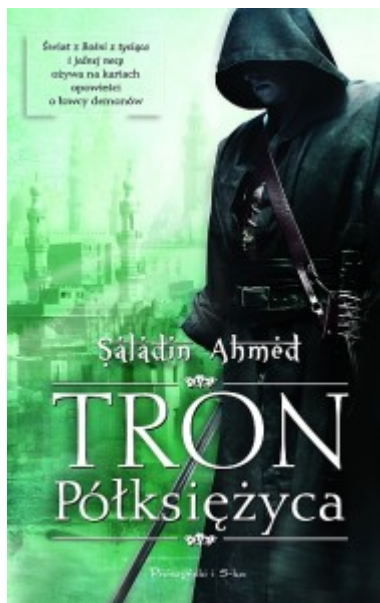
TRON

Półksiężyc

Prószyński i S-ka

Saladin Ahmed "Tron półksiężyca" (fragment II)

Fahrenheit Crew



Rozdział 1

Dhamsawaacie, Miast Królu, Abasenu Klejnocie,

Co w murach swych witasz co dzień nieprzebrane krocie,

Gęsta mozaiko alej, gmachów i uliczek,

Księgarni i zamtuzów; szkół, kramów nie zliczę.

Poświęciłem im wszystkim serca swego bicie,

Bo kogo znużył Dhamsawaat - znużyło go życie.

Doktor Adulla Machslud, ostatni prawdziwy łowca ghuli w wielkim mieście Dhamsawaat, westchnął, czytając te wersy. Jego własny przypadek zdawał się być ich zaprzeczeniem. Często czuł się znużony życiem, ale Dhamsawaat jeszcze go nie znużył. Po ponad sześćdziesięciu latach na Bożym świecie Adulla odkrył, że jego ukochane rodzinne miasto jest jedną z niezliczonych rzeczy, których nie ma dość. Poezja Ismiego Szihaba była drugą.

Czytając znajome wersy wczesnym rankiem ze świeżo oprawionej książki, poczuł się młodszy - i było to przyjemne uczucie. Nieduży tomik oprawiono w brązową jagnięcą skórę, a na okładce wytrawiono dobrym, złotniczym kwasem tytuł Liście palmowe Ismiego Szihaba. Książka była bardzo droga, ale Hafi intrologator dał mu ją za darmo. Choć minęły dwa lata, odkąd Adulla uratował jego żonę przed wodnymi ghulami okrutnego maga, Hafi wciąż wylewnie okazywał swoją wdzięczność.

Adulla ostrożnie zamknął tomik i odłożył go na bok. Siedział pod herbaciarnią Jehjeha, swoją

ulubioną na całym świecie, sam przy długim, kamiennym stole. Sny zeszłej nocy śnił makabryczne i żywe - rzeki krwi, płonące trupy, straszliwe głosy - ale po przebudzeniu ich szczegóły straciły wyrazistość. Siedząc w swoim ulubionym miejscu, z twarzą nad miseczką kardamonowej herbaty, czytając Ismiego Szihaba, Adulla prawie zdołał całkowicie wyprzeć koszmary z pamięci.

Stół niczym rzeczna ostroga wychodził na wielką Główną, najważniejszą drogę Dhamsawaatu, najszerszą i najruchliwszą aleję we wszystkich Królestwach Półksiężycy. Nawet o tak wczesnej porze była na wpół zapełniona ludźmi. Niektórzy zerkali na niemożliwie biały kaftan Adulli, ale większość nie zwracała na niego uwagi. On również ich ignorował. Skupiał się na czymś o wiele ważniejszym.

Na herbacie.

Nachylił się niżej nad małą miseczką i zaciągnął się głęboko; bardzo potrzebował tego aromatycznego lekarstwa na znużenie życiem. Owiała go pachnąca mocno kardamonem para, zwilżyła mu twarz i brodę, i po raz pierwszy tego sennego poranka naprawdę poczuł, że żyje.

Kiedy opuszczał Dhamsawaat i tropił trupie ghule w zarośniętych pajęczynami katakumbach albo ich odmianę piaskową na pylistych równinach, często musiał się zadowalać żuciem słodkiego korzenia herbacianego. Ciężko znosił te pozbawione obozowego ognia czasy, ale jako łowca ghuli był przyzwyczajony do ograniczeń związanych ze swoim zajęciem. „Kiedy stajesz przeciwko dwóm ghułom, nie trać czasu na żałowanie, że nie jest ich mniej” - brzmiało jedno z przykazań tego starożytnego cechu. Tutaj jednak, w domu, w cywilizowanym Dhamsawaarze, Adulla nie czuł się w pełni częścią świata, dopóki nie napił się kardamonowej herbaty.

Podniósł miseczkę do ust i upił łyk, rozkoszując się ostrą słodyczą. Usłyszał zbliżające się szuranie Jehjeha, poczuł zapach ciastek, które niósł jego przyjaciel. „Oto właśnie - pomyślał - życie takie, jakim zamierzył je łaskawy Bóg”.

Z głośnym brzękiem Jehjeh postawił na kamiennym stole własną miseczkę i tacę z ciastkami, a potem wsunął swoją żylastą postać na ławę obok Adulli. Doktor od lat dziwił się, że zezowaty, utykający właściciel herbaciarni potrafi zbierać i nosić miski i talerze tak sprawnie i tak niewiele z nich tłukąc. Pewnie to kwestia wprawy. Łowca lepiej niż większość ludzi zdawał sobie sprawę, że przyzwyczajenie może nauczyć człowieka wszystkiego.

Jehjeh uśmiechnął się szeroko, ukazując nieliczne zęby.

Wskazał słodycze.

- Kruche ciastka migdałowe, pierwszy dzisiejszy wypiek, zanim jeszcze otworzyłem drzwi. I niech Bóg nas ustrzeże od grubych przyjaciół, którzy budzą nas za wcześnie!

Adulla lekceważąco machnął ręką.

- Kiedy człowiek osiąga mój wiek, przyjacielu, budzi się przed wschodem słońca. Sen za bardzo przypomina nam śmierć.

Jehjeh chrząknął.

- I to mówi mistrz poobiedniej drzemki! Skąd znów takie mroczne myśli, co? Od powrotu ze swojej ostatniej wyprawy jesteś bardziej ponury niż zwykle.

Adulla wybrał sobie ciastko; odgryzł połowę, schrupał głośno i połknął, wpatrzony w swoją miseczkę z herbatą. Jehjeh czekał na odpowiedź. W końcu doktor odezwał się, choć nie podniósł wzroku.

- Ponury? Hm. Mam powody. Wyprawa, mówisz? Dwa tygodnie temu stałem oko w oko z ożywionym posągami z brązu, który próbował mnie zabić toporem. Toporem, Jehjehu! - Potrząsnął głową do własnego, rozmytego odbicia w herbacie. - Sześćdziesiąt lat, a ja wciąż się angażuję w takie szaleństwo. Dlaczego? - spytał, podnosząc głowę.

Jehjeh wzruszył ramionami.

- Bo tak chciał Bóg Wszechwiedzący. Już wcześniej stawiałeś czoła takim potworom, i jeszcze gorszym, przyjacielu. Może i wyglądasz jak syn niedźwiedzia, który wychędożył myszołowa, ale jesteś ostatnim prawdziwym łowcą ghuli w tym całym opuszczonym przez Boga mieście, o wielki i czcigodny doktorze.

Prowokował go, używając pompatycznych tytułów należnych lekarzowi. Łowcy ghuli dzielili z „wielkimi i czcigodnymi” uzdrowicielami tytuł „doktora”, ale nic poza tym. Żaden przystawiający pijawki szarlatan nie dotrzymałby pola zębataj koszarom, z którymi wojował Adulla.

- Skąd możesz wiedzieć, jak ja wyglądam, Sześćciozęby? Ty, którego zezowate oczy widzą co najwyżej czubek własnego nosa!

Mimo ponurych rozmyślań tradycyjna wymiana uszczypliwości z Jehjehem była przyjemnie znajoma, niczym para starych, dobrze uszytych sandałów. Doktor wytarł palce w swój nieskazitelny kaftan. Okruchy i plamy miodu w czarodziejski sposób opadły z niebrudzącego się ubrania na ziemię.

- Ale masz rację - ciągnął - bywało gorzej. Jednak to... to...

Głośno napił się herbaty. Pojedynek z człowiekiem z brązu wytrącił go z równowagi. Fakt, że uratował się tylko dzięki pomocy swojego asystenta, Rasida, dowodził, że się starzeje. Jeszcze bardziej niepokojące było to, że podczas walki śnił na jawie o swym końcu. Był zmęczony. A kiedy ktoś poluje na potwory, od zmęczenia do śmierci dzieli go zaledwie jeden krok.

- Ten chłopak uratował mój tłusty zad. Gdyby nie on, byłoby już po mnie.

Niełatwo było się do tego przyznać.

- Twój młody asystent? Żaden wstyd. To derwisz Zakonu! Dlatego przecież go przyjąłeś, prawda? Przez jego rozdwójony miecz, to całe „odcinanie dobra od zła” i tak dalej?

- Ostatnio zdarza się to za często - kontynuował Adulla. - Powinienem się wycofać. Jak Dawud i jego żona. - Siorbnął herbaty i na chwilę ucichł. - Ja zamarłem, Jehjehu. Zanim chłopak przyszedł mi na ratunek. Zamarłem. I wiesz, co myślałem? Że nigdy więcej nie będzie mi dane zrobić właśnie tego: siedzieć przy tym stole z twarzą nad miseczką dobrej kardamonowej herbaty.

Jehjeh skłonił głowę i Adulli wydało się, że oczy przyjaciela jakby zwilgotniały.

- Byłbyś opłakiwany. Ale najważniejsze jest to, że tu wróciłeś, Bogu niech będą dzięki.

- Owszem. Ale dlaczego, Sześćciozęby, nie powiesz mi teraz: „Zostań w domu, stary pierdzielu”? To właśnie powiedziałaby prawdziwy przyjaciel!

- Potrafisz robić rzeczy, niedźwiedziu z dziobem myszołowa, których nie potrafią inni. A ludzie potrzebują twojej pomocy. Bóg powołał cię do życia, cóż mogę powiedzieć takiego, co by to zmieniło? - Jehjeh zacisnął usta i ściągnął brwi. - Poza tym kto powiedział, że w domu jest bezpiecznie? Ten szaleniec, Książę Sokołów, lada chwila puści całe miasto z dymem. Razem z nami. Zapamiętaj moje

słowa.

Już wcześniej poruszali ten temat. Jehjeh nie przepadał za wywrotowymi przedstawieniami tajemniczego mistrza złodziei, który kazał się nazywać Księciem Sokołów. Adulla zgadzał się, że „Książę” najpewniej jest szalony, ale wciąż popierał niedoszłego uzurpatora. Książę Sokołów ukradł dużo złota kalifowi i bogatym kupcom, a duża część tych pieniędzy trafiła w ręce najuboższych Dhamsawaatu – czasami dostarczona przez niego osobiście.

Jehjeh napił się herbaty i kontynuował:

- W zeszłym tygodniu zabił następnego kata kalifa, wiesz? To już drugi. - Potrząsnął głową. - Dwaj przedstawiciele sprawiedliwości kalifa zamordowani.

- „Sprawiedliwość kalifa”? - prychnął Adulla. - Oto dwa słowa, które nie spędzą nocy w jednym namiocie! Ten chłystek nawet w połowie nie dorównuje ojcu mądrością, za to jest dwukrotnie bardziej okrutny. Czy sprawiedliwością jest pozwolić, by pół miasta głodowało, kiedy ten chciwy sukinsyn siedzi na brokatowych poduszkach i zajada się obieranymi winogronami? Czy sprawiedliwością jest...

Jehjeh przewrócił oczami, co wyglądało dość groteskowo.

- Tylko bez przemów, proszę. Nic dziwnego, że lubisz tego łotra: obaj lubicie gadać! Ale mówię ci, przyjacielu, ja nie żartuję. W tym mieście nie ma miejsca jednocześnie dla takiego człowieka i dla nowego kalifa. Czeka nas bitwa na ulicach. Następna wojna domowa.

Adulla się skrzywił.

- Oby Bóg do tego nie dopuścił.

Jehjeh wstał, przeciągnął się i klepnął go w plecy.

- Tak. Niech łaskawy Bóg położy starców takich jak my spokojnie do grobu, zanim ta burza nadciągnie. - Nie wyglądał, jakby miał na to wielką nadzieję. Ścisnął ramię Adulli. - Cóż. Zostawiam cię z twoją książką, o Gamalu od Złotych Okularów.

Adulla jęknął. Kiedy był jeszcze ulicznym rozrabiaką ze Zdechłego Osła, sam przeżywał czytających chłopców imieniem tego bohatera z ludowego podania. Przez lata, które upłynęły od tamtej pory, nauczył się, że to głupie. Opiekuńczym gestem przykrył książkę dłonią.

- Nie powinienes tak gardzić poezją, przyjacielu. W tych wersach kryje się mądrość. O życiu, śmierci, o ludzkim losie.

- Bez wątpienia! - Jehjeh udał, że trzyma w powietrzu przed sobą książkę i wodząc palcem po nieistniejącej kartce, zaczął naśladować niski głos Adulli: - Och, jakże trudno jest być tak opasłym! Och, jak źle mieć tak wielki nos! O łaskawy Boże, czemu dzieci uciekają z krzykiem, gdy nadchodzę?

Zanim Adulla zdołał wymyślić ripostę złośliwie wskazującą na lęk, jaki wzbudzał u tychże dzieci zez Jehjeha, właściciel herbaciarni odkuśtykał, z rechotem mamrocząc pod nosem jakieś bezceństwa.

Miał rację co do jednego: Adulla, chwalić Boga, wciąż żył i kolejny raz zdołał powrócić do domu - do Klejnotu Abasenu, miasta z najlepszą herbatą na świecie. Sam przy długim, kamiennym stole, znów siedział, popijał i patrzył, jak poranny Dhamsawaat ożywa. Minął go szewc o grubym karku, niosący na ramieniu dwa długie kije obwieszony butami. Przeszła kobieta z Rughal-ba, z bukietem

w dłoniach i powiewającym z tyłu długim trenem welonu. Chudy, młody człowiek z książką w rękach i w połatanym kaftanie zmierzał leniwie na wschód.

Adulla patrzył na ulicę i nagle jego nocny koszmar powrócił z taką siłą, że doktor nie mógł się poruszyć i odebrało mu mowę. Szedł – brodził – ulicami Dhamsawaatu po pas w rzece krwi. Jego kaftan był uwalany brudem i posoką. Wszystko miało czerwoną barwę – kolor Zdradzieckiego Anioła. Jego umysł szarpał głos brzmiący jak szakał, który wyje słowa ludzkiej mowy. A wszędzie dookoła leżeli martwi i wypatroszeni mieszkańcy miasta.

„Na Boga!”

Zmusił się, żeby oddychać. Patrzył na mężczyzn i kobiety na Główniej, zupełnie żywych i zajmujących się swoimi sprawami. Nie było żadnej rzeki krwi. Żadnego wycia szakała. Kaftan miał czysty.

Wziął jeszcze jeden głęboki oddech. „To tylko sen. Świat snu wdziera się w moją jamę – powiedział sobie. – Muszę się zdrzemnąć”.

Wypił przedostatni łyk herbaty, delektując się wszystkimi subtelnymi aromatami kardamonu. Otrząsnął się najlepiej jak umiał z ponurych myśli i rozprostował nogi przed długą wędrówką do domu.

Wciąż je rozprostowywał, kiedy zobaczył, że z zaułka po lewej stronie herbaciarni wyłania się jego asystent, Rasid. Kroczył w stronę Abdulli, jak zwykle odziany w nieskazitelny, błękitny habit Zakonu Derwiszów. Święty wojownik ciągnął za sobą spory tobołek, coś owiniętego w szare szmaty.

Nie, nie coś. Kogoś. Długowłosego chłopca, może ośmioletniego. Z krwią na ubraniu. „Och, proszę, nie”. Adulli skurczył się żołądek. „Łaskawy Boże dopomóż, co teraz?” Doktor sięgnął w głąb siebie i jakimś cudem znalazł dość siły, by odstawić miseczkę z herbatą i wstać.